Nie zapinaj jeszcze płaszcza

Jego wyjazd nie musi być końcem ich historii



Laura Bellini

Nie zapinaj jeszcze płaszcza

Jego wyjazd nie musi być końcem ich historii

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384904428

ALL-IN Rafał Płonkowski

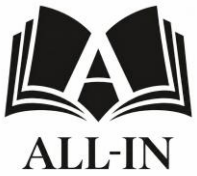

SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Obraz, którego nie było w katalogu 10
Rozdział 2 - Warunki współpracy 20
Rozdział 3 - Między światłem a cieniem 32
Rozdział 4 - Poza kadrem..... 43
Rozdział 5 - Prawo do własnego czasu..... 57
Rozdział 6 - Chwila, której nie dało się zaplanować 67
Rozdział 7 - To, co zostaje po pocałunku..... 77
Rozdział 8 - W jego świecie 87
Rozdział 9 - Ryzyko wspólnego obrazu 99
Rozdział 10 - Nie tylko na chwilę 115
Rozdział 11 - Rzeczy, których nie mówimy na głos 128
Rozdział 12 - Termin, którego nie da się przesunąć.....138
Rozdział 13 - Cena własnych wyborów.....149
Rozdział 14 - To, czego boimy się stracić 162
Rozdział 15 - Decyzja podjęta za dwoje 177
Rozdział 16 - Odległość zaczyna się wcześniej 187
Rozdział 17 - Kiedy każde musi wybrać siebie.....198
Rozdział 18 - Miejsce na powrót..... 207
Rozdział 19 - Wszystko, co warto zachować 220
Rozdział 20 - Nie zapinaj jeszcze płaszcza 229

INTRO

W archiwum kina cisza nigdy nie była zupełna. Nawet po zamknięciu czytelni i wyłączeniu lamp w sali projekcyjnej coś pracowało za ścianami: wentylacja, stary zegar, rury grzewcze, czasem metaliczny trzask stygnącego urządzenia. Lubiłam tę porę. Nie musiałam odpowiadać na pytania o sygnatury, nie słyszałam telefonów z sekretariatu i mogłam przez kilka godzin udawać, że całe to miejsce jest tylko moje.

Tego wieczoru miałam do zrobienia coś ważniejszego niż porządkowanie kolejnej partii kart katalogowych. Na ekranie komputera czekał wniosek o dofinansowanie cyklu pokazów, który układałam od trzech miesięcy. Chciałam zestawić krótkie filmy nieme z łódzkich zbiorów, nie według dat i nazwisk reżyserów, ale wokół miejsc, które znikały z miasta: podwórek, zakładów, małych dworców, sal tanecznych. Każdy seans miał mieć własną opowieść, a ja chciałam po raz pierwszy odpowiadać za cały program, nie tylko za opisy, koperty i cudze decyzje. W rubryce „koordynacja” wpisałam swoje nazwisko. Patrzyłam na nie dłużej, niż było to rozsądne.

Termin mijał następnego dnia o dziewiątej. Zostało mi kilka zdań uzasadnienia i kosztorys, który wciąż nie chciał się zgodzić. Miałam już otwarty formularz wysyłki, kiedy z zaplecza dobiegł dźwięk przesuwanego metalu. Zamarłam z palcami nad klawiaturą. O tej godzinie nie powinno tam nikogo być.

Wzięłam latarkę i zeszłam do magazynu przy dawnej projekcyjni. Na stole stała skrzynia, której wcześniej nie widziałam. Była wąska, obita ciemnym drewnem, z

mosiężnymi narożnikami i etykietą przyklejoną tak starannie, jakby ktoś chciał, żeby przetrwała kolejne pół wieku. Na etykiecie widniał numer zespołu, którego nie rozpoznawałam, oraz dopisek o materiale bez tytułu. Skrzynia musiała przyjechać tego dnia, ale nikt nie zostawił mi informacji.

Przesunęłam palcem po warstwie kurzu. Pod nią pojawiła się cienka kreska, jak ślad po paznokciu. Znałam ten rodzaj opakowań. W środku mogła być taśma, dokumentacja albo puste szpule, ale sam sposób zabezpieczenia sugerował, że ktoś kiedyś uznał zawartość za wartą szczególnej troski. Otworzyłam rejestr przyjęć na służbowym tablecie. Wpis był lakoniczny: „materiał filmowy, przekaz prywatny, do weryfikacji". Bez nazwiska darczyńcy. Bez opisu. Bez protokołu stanu zachowania.

— Nie powinna pani tego otwierać sama.

Głos dobiegł zza moich pleców. Odwróciłam się gwałtownie, a latarka przecięła ciemność i zatrzymała się na mężczyźnie stojącym w drzwiach. Miał na sobie ciemny płaszcz, rozpięty mimo chłodu, i trzymał skórzaną torbę z narzędziami. Nie wyglądał na kogoś, kto zabłądził. Raczej na człowieka, który od dawna wiedział, dokąd idzie, i nie miał zwyczaju tłumaczyć się z obecności.

— A pan nie powinien wchodzić do magazynu bez zgłoszenia — odpowiedziałam.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nie uśmiechnął się, ale w jego twarzy pojawiło się coś, co mogło być rozbawieniem. Miał spokojne oczy i dłonie człowieka przyzwyczajonego do precyzyjnej pracy. Zauważyłam drobne ślady smaru przy mankiecie koszuli, zanim zdążyłam

sobie przypomnieć, że nie zamierzałam dziś nikogo poznawać.

— Roch Kania. Konserwacja sprzętu i taśmy — przedstawił się, odkładając torbę na wolny fragment stołu. — Dostałem wiadomość o skrzyni.

— Ja nie.

— To nie pierwszy raz, kiedy informacja dociera tu w niewłaściwej kolejności.

Powiedział to bez złośliwości. Jakby opisywał usterkę, którą można naprawić, jeśli tylko człowiek przestanie udawać, że jej nie ma. Nie spodobało mi się, że od razu poczułam ochotę, by mu odpowiedzieć czymś równie celnym.

— Jestem Ina Brzoza. Odpowiadam za ewidencję i opracowanie materiałów. Dopóki nie ma protokołu, skrzynia pozostaje zamknięta.

— Zgadzam się. Ale zanim ktoś ją otworzy, trzeba sprawdzić warunki przechowywania i stan opakowania. Jeśli w środku jest nitroceluloza, pośpiech nie będzie najlepszym pomysłem.

Nie podniósł głosu ani nie próbował odebrać mi decyzji. Mimo to jego zdanie zabrzmiało jak korekta naniesiona na mój plan bez pytania o zgodę. Spojrzałam na skrzynię, potem na ekran tabletu. Wpis nie zawierał nawet informacji o rodzaju nośnika. Miał rację, a ja nie zamierzałam mu tego ułatwiać.

— W takim razie proszę sporządzić zalecenia. Jutro rano.

— Jutro rano może być za późno, jeśli skrzynia stała wcześniej w nieodpowiednich warunkach.

— A jeśli zaczniemy działać bez dokumentacji, będziemy mieli problem większy niż skrzynia.

Tym razem uśmiechnął się naprawdę, krótko, jakby docenił, że nie ustąpiłam tylko dlatego, że użył fachowego tonu. Odłożył rękawiczki obok torby i przyjrzał się etykiecie, nie dotykając jej.

— Nie proponuję otwierania. Proponuję, żebyśmy obejrzeli ją razem i zapisali wszystko, co da się ustalić bez naruszania zabezpieczeń.

„Razem" zabrzmiało zaskakująco zwyczajnie. Jakby wspólna praca była oczywistym rozwiązaniem, choć jeszcze przed chwilą nie wiedziałam nawet, że istnieje. Pomyślałam o wniosku czekającym na ekranie, o pustym polu kosztorysu i o tym, że następnego dnia miałam przedstawić własny program dyrekcji. Nie chciałam, żeby cudzy projekt znów pochłonął czas, który próbowałam odzyskać dla siebie.

— Mam dziś jeszcze coś do skończenia — powiedziałam.

— Widzę.

Podążyłam za jego spojrzeniem. Na tablecie wciąż świecił otwarty formularz, a obok niego leżał wydruk mojego harmonogramu. Nie próbował czytać szczegółów. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, że nie przyszedł do pustego magazynu, tylko przerwał komuś wieczór, który miał już własny kierunek.

— Nie zamierzam pani zatrzymywać — powiedział. — Ale ta skrzynia nie poczeka na lepszy termin.

Nie było w tym nacisku. Właśnie dlatego trudniej było mi go zignorować. Mógł po prostu wykonać swoje zadanie, zostawić mi zalecenia i wyjść. Zamiast tego czekał, dając mi miejsce na decyzję. Zauważyłam, że nie patrzył na mnie z góry, choć miał przewagę wiedzy w sprawie, która właśnie

pojawiła się między nami. To było rzadkie. I irytująco pociągające.

Zgasiłam ekran tabletu, ale nie schowałam go do torby. Wniosek nadal mógł poczekać kilkanaście minut. Nie całą noc, nie następny dzień, tylko kilkanaście minut. Tyle mogłam oddać, nie rezygnując z własnego planu.

— Obejrzymy skrzynię — zdecydowałam. — Bez otwierania i bez samodzielnych eksperymentów. Wszystko zapisujemy.

— Umowa.

Wyciągnął rękę, lecz nie po to, by wymusić uścisk. Wskazał tylko latarkę, której światło zaczynało słabnąć.

— Ma pani zapasowe baterie?

— W szufladzie przy wejściu.

— To dobrze. Ja mam zwyczaj pracować przy świetle, które nie gaśnie w połowie zdania.

— A ja mam zwyczaj nie ufać ludziom, którzy od pierwszego spotkania poprawiają moje plany.

— Rozsądnie — odparł. — Proszę mi więc nie ufać. Proszę sprawdzić, czy mam rację.

Ruszyłam po baterie, czując, że mój starannie wyznaczony wieczór właśnie zmienił kształt. Nie wiedziałam jeszcze, co znajduje się w skrzyni ani dlaczego ktoś przekazał archiwum film bez tytułu i nazwiska. Wiedziałam tylko, że Roch Kania nie zamierzał udawać, że wszystko da się zrobić po mojemu, a ja nie zamierzałam oddać mu steru. Kiedy wróciłam, stał przy stole i czekał, nie dotykając niczego.

Mój wniosek wciąż był otwarty. Mój plan nadal należał do mnie. A jednak po raz pierwszy od dawna pomyślałam, że

może nie każda zmiana kierunku musi oznaczać utratę kontroli. Czy potrafiłam dopuścić go do tej jednej, nieplanowanej chwili, nie oddając mu przy tym prawa do wyznaczania drogi?

Rozdział 1 - Obraz, którego nie było w katalogu

Następnego ranka przyszłam do archiwum dwadzieścia minut przed rozpoczęciem pracy. Nie dlatego, że nagle polubiłam poranne pobudki, ale dlatego, że chciałam obejrzeć dokumentację skrzyni, zanim pojawi się Roch. Poprzedniego wieczoru udało nam się sporządzić wstępny opis opakowania, zmierzyć jego wymiary i sprawdzić widoczne oznaczenia. Nie otworzyliśmy go. Zgodnie z ustaleniami pozostawiliśmy zabezpieczenia nienaruszone, a ja wpisałam do rejestru uwagę o konieczności przeprowadzenia wspólnej oceny stanu zachowania materiału.

Przy porannej kawie przeczytałam jeszcze raz wszystkie dostępne informacje. Przekaz prywatny. Materiał filmowy. Brak tytułu. Brak nazwiska darczyńcy w podstawowym formularzu. W rubryce dotyczącej historii obiektu ktoś wpisał jedynie: „znaleziony podczas porządkowania pomieszczeń gospodarczych". To było zdecydowanie za mało, by uznać dokumentację za kompletną, ale wystarczająco dużo, żeby uruchomić procedurę weryfikacji.

O ósmej trzydzieści na moim biurku pojawiła się teczka z dokumentami przekazania. Przyniosła ją Marta, kierowniczka archiwum, która od lat potrafiła rozpoznać moje niezadowolenie po sposobie, w jaki odkładałam długopis.

— Widzę, że nasza nowa przesyłka już zdążyła cię zirytować.

— Jeszcze nie. Daję jej szansę.

— Rozsądnie. Podobno to coś interesującego.

Otworzyłam teczkę i przejrzałam pierwsze strony. Przekazanie zostało uzgodnione z osobą prywatną, której nazwisko znała administracja, ale w dokumentacji dostępnej pracownikom nie zamieszczono szczegółowych danych kontaktowych. Nie było też pełnego opisu zawartości. Znalazłam za to załącznik dotyczący planowanego wykorzystania materiału w działalności archiwum. Wspominał o możliwości przygotowania publicznego pokazu po zakończeniu oceny technicznej i historycznej.

— Wiesz, kto jest darczyńcą? — zapytałam.

— Wiem, że formalności prowadził dyrektor. Podobno rodzina porządkowała mieszkanie po krewnym.

— I nikt nie pomyślał, żeby zapytać, skąd pochodzi film?

— Myślę, że właśnie dlatego dostaliśmy tę teczkę.

Nie byłam zachwycona, ale nie mogłam odmówić jej racji. W archiwum często zaczynaliśmy od niepełnych informacji. Naszym zadaniem było ustalić, co naprawdę znajduje się w zbiorach, a nie obrażać się na ludzi za to, że nie znali wszystkich odpowiedzi.

O dziewiątej Roch wszedł do pracowni z kubkiem kawy i torbą narzędziową. Tym razem nie miał rozpiętego płaszcza. Zdjął go przy drzwiach i powiesił na wieszaku, jakby od początku wiedział, że zostanie tu dłużej.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry. Przygotowałam dokumentację.

— A ja przygotowałem sprzęt do oceny opakowania. Wygląda na to, że oboje jesteśmy dobrze zorganizowani.

— Nie przyzwyczajaj się. To może być jednorazowy przypadek.

Zerknął na mnie z uśmiechem, którego nie próbował ukrywać. Potem postawił torbę na stole i wyciągnął kilka przyrządów pomiarowych. Nie robił niczego w pośpiechu. Rozkładał narzędzia w ustalonej kolejności, sprawdzając ich stan, a ja obserwowałam go przez moment, zanim wróciłam do dokumentów.

W jego pracy było coś, co budziło moje zaufanie, choć nie zamierzałam jeszcze tego przyznawać. Nie próbował imponować wiedzą. Nie zasypywał mnie fachowymi określeniami. Po prostu wiedział, co robić, i nie udawał, że wie więcej, niż pozwalały ustalić dostępne dane.

— Zanim zaczniemy — powiedziałam — musimy uzgodnić sposób dokumentowania.

— Słucham.

— Każda czynność przy materiale będzie odnotowana. Nie podejmujemy decyzji o czyszczeniu, naprawie ani projekcji bez wspólnej oceny. Nie zmieniamy kolejności elementów, jeśli znajdziemy ich więcej. I nie wykonujemy żadnych prób na oryginale bez uzasadnienia.

— Zgoda.

— Tak po prostu?

— Wolałaby pani, żebym się pokłócił?

— Wolałabym, żebyśmy nie musieli się kłócić później.

— W takim razie mamy wspólny interes.

Podpisaliśmy protokół rozpoczęcia prac. Następnie przenieśliśmy skrzynię do przygotowanego stanowiska. Pomieszczenie było chłodne, wyposażone w odpowiednie oświetlenie i sprzęt pozwalający kontrolować warunki pracy. Przez kilka minut sprawdzaliśmy powierzchnię opakowania,

narożniki i miejsca łączeń. Roch wskazywał kolejne punkty, ja zapisywałam wyniki.

— Tutaj jest ślad po wcześniejszym otwieraniu — zauważył, wskazując na jedną z metalowych listew.

— Nie widzę naruszenia zabezpieczenia.

— Nie ma go teraz. Ale ktoś mógł zdejmować tę część wcześniej.

Przyjrzałam się uważniej. Rzeczywiście, na jednej ze śrub widniało niewielkie zarysowanie. Nie wyglądało na przypadkowe.

— Dopiszemy to do opisu — zdecydowałam. — Bez wyciągania wniosków, których nie możemy potwierdzić.

— Właśnie takiej odpowiedzi oczekiwałem.

— Nie wiem, czy powinnam czuć się doceniona.

— Powinna pani czuć się spokojniejsza. To znacznie bardziej przydatne.

Po zakończeniu wstępnej oceny mogliśmy przejść do otwarcia skrzyni. Każdy etap dokumentowaliśmy osobno. Zabezpieczenia ustępowały powoli, a ja sprawdzałam, czy nie pojawiają się oznaki uszkodzeń. W środku znajdowały się dwie metalowe puszki, owinięte papierem i oddzielone warstwą miękkiego materiału. Obok leżała niewielka koperta.

Nie było na niej nazwiska. Jedynie odręczny napis: „Do filmu”.

— To ciekawe — powiedziałam.

Roch nie sięgnął po kopertę.

— Najpierw puszki. Zobaczmy, co mamy.

Zgodnie z procedurą oceniliśmy oznaczenia i stan pojemników. Jedna z puszek była pusta. W drugiej

znajdowała się rolka filmu, której oznaczenia nie pozwalały jednoznacznie określić daty ani rodzaju materiału. Nie wyglądała na współczesną kopię. Zapis na etykiecie był częściowo zatarty, ale dało się odczytać kilka liter i cyfr.

— Dwadzieścia osiem? — zapytałam.

— Możliwe. Ale nie wpisałbym tego jeszcze do dokumentacji jako daty powstania.

— Nie zamierzam.

— Dobrze. Zaczynam lubić tę współpracę.

— Proszę uważać. Jeszcze nie ustaliliśmy, czy będzie trwała dłużej niż do południa.

Kiedy przygotowaliśmy stanowisko do dalszej oceny, Roch sprawdził stan perforacji i krawędzi taśmy. Nie dotykał jej bezpośrednio, pracował w rękawiczkach i korzystał z odpowiednich narzędzi. Ja odczytywałam oznaczenia, porównując je z dostępnymi katalogami. Po pewnym czasie okazało się, że nie potrafimy przypisać materiału do żadnego z opisanych zespołów.

— Nie ma go w naszych bazach — powiedziałam.

— To akurat nie jest zaskoczenie.

— Dziękuję za pocieszenie.

— Nie próbowałem pocieszać. Chciałem powiedzieć, że brak wpisu nie oznacza, że film jest nieznany.

Przyjrzałam się mu uważniej.

— Co masz na myśli?

— Może był przechowywany poza instytucją. Może ktoś zrobił kopię, która nigdy nie trafiła do katalogu. Może oznaczenia dotyczą wcześniejszego właściciela, a nie miejsca produkcji.

— A może to materiał, którego nie da się zidentyfikować.

— Też możliwe.

Nie próbował narzucać jednej interpretacji. Podobało mi się to bardziej, niż powinno.

W kolejnych minutach udało nam się ustalić, że taśma zawiera materiał niemy, którego długość pozwalała na przygotowanie krótkiego pokazu, choć ostateczna decyzja wymagała jeszcze sprawdzenia całej rolki. Zanim jednak przeszliśmy do dalszych czynności, wróciliśmy do koperty. Znajdowała się w niej pojedyncza kartka z krótkim zdaniem: „Nie rozdzielać od obrazu".

Przeczytałam je dwa razy.

— To nie jest opis techniczny — stwierdziłam.

— Ale może być wskazówką dotyczącą pochodzenia.

— Albo czyjąś prywatną prośbą.

— W takim razie warto ją zachować razem z materiałem.

— Oczywiście.

Włożyłam kartkę do odpowiedniej koszulki ochronnej i sporządziłam osobny wpis. Nie wiedziałam, dlaczego ktoś uznał, że ten fragment papieru musi pozostać przy filmie. Nie wiedziałam też, czy miał znaczenie historyczne, czy jedynie emocjonalne. Nie zamierzałam go usuwać tylko dlatego, że nie potrafiłam jeszcze wyjaśnić jego obecności.

Po południu mieliśmy już wstępny obraz sytuacji. Materiał wymagał dalszych badań, ale nic nie wskazywało na to, że jego stan uniemożliwi pracę. Właśnie wtedy wróciłam do sprawy, która od rana czekała w mojej głowie.

— Chciałabym zaproponować pokaz — powiedziałam.

Roch podniósł wzrok znad notatek.

— Już teraz?

— Nie jutro. Nie w przyszłym tygodniu. Chciałabym przygotować koncepcję i przedstawić ją dyrekcji. Odnaleziony film może stać się częścią programu poświęconego znikającym miejscom Łodzi.

— Nie znamy jeszcze jego treści.

— Dlatego mówię o koncepcji, nie o gotowym seansie.

— A jeśli materiał nie nadaje się do projekcji?

— Wtedy zmienimy sposób prezentacji. Możemy pokazać fragmenty dokumentacji, opowiedzieć o procesie identyfikacji.

— Nie chciałbym, żebyśmy traktowali film jak pretekst do zorganizowania wydarzenia, zanim dowiemy się, co naprawdę mamy.

Poczułam, że rozmowa zmienia kierunek.

— Nie traktuję go jak pretekstu.

— Nie mówię, że pani to robi. Mówię, że musimy uważać.

— Wiem, czym zajmuje się archiwum, Roch.

— Nie wątpię. Ale jeśli zaplanujemy pokaz, ktoś zacznie oczekiwać konkretnego terminu. A my nie wiemy nawet, czy mamy bezpieczny materiał do pracy.

— Nie zamierzam obiecywać daty projekcji bez oceny technicznej.

— W takim razie czego pani potrzebuje ode mnie?

To pytanie było spokojne, ale nie pozostawiało mi miejsca na ogólniki.

Wyjęłam z teczki wydruk mojego projektu. Nie zamierzałam jeszcze pokazywać go dyrekcji, ale uznałam, że Roch powinien wiedzieć, dlaczego zależy mi na tym, by

film nie skończył jako kolejny anonimowy obiekt w magazynie.

— Pracuję nad programem, który ma opowiadać o Łodzi przez obrazy miejsc, których już nie ma. Nie chcę kolejnego pokazu złożonego z przypadkowych fragmentów kronik. Chcę stworzyć coś, co będzie miało sens dla ludzi, którzy tu mieszkają. Ten film może do tego pasować, jeśli jego treść potwierdzi naszą wstępną hipotezę.

Przeglądał wydruk w milczeniu. Nie próbował przyspieszać, nie przeskakiwał stron. Zatrzymał się przy opisie jednego z planowanych seansów.

— To pani projekt?

— Tak.

— Sama go przygotowała?

— Od początku.

— I zamierza go pani przedstawić?

— Jutro.

Oddał mi kartki.

— W takim razie rozumiem, dlaczego pani się spieszy.

Nie powiedział, że mój pomysł jest dobry. Nie zapewnił, że wszystko się uda. Po prostu uznał, że mam powód, którego nie zamierzał lekceważyć.

— Ale nadal uważam, że nie powinniśmy ustalać daty pokazu — dodał.

— Nie prosiłam o datę.

— Proszę więc o jedno: zanim przedstawimy ten film publicznie, pozwólmy mu najpierw opowiedzieć, co rzeczywiście zawiera.

Spojrzałam na niego. W jego głosie nie było protekcjonalności. Była zawodowa odpowiedzialność, która nie kończyła się na wykonaniu zadania. I coś jeszcze, trudniejszego do nazwania. Rodzaj cierpliwości, której brakowało wielu osobom, z którymi pracowałam.

— Dobrze — powiedziałam. — Ale ja też mam warunek.

— Słucham.

— Nie będziemy odkładać decyzji w nieskończoność. Ustalimy harmonogram oceny, a potem przedstawimy dyrekcji konkretne możliwości.

— To brzmi rozsądnie.

— Nie przyzwyczajaj się.

Tym razem zaśmiał się cicho.

Kiedy kończyliśmy pracę, wpisałam do harmonogramu kolejne zadania i wskazałam terminy, których nie zamierzałam przekraczać. Roch zaakceptował większość z nich, ale przy jednym punkcie zatrzymał długopis.

— Tego nie mogę obiecać.

— Dlaczego?

— Bo nie wiem, czy będę wtedy dostępny.

— Masz inne zlecenia?

— Mam kilka spraw, które muszę uporządkować.

Nie rozwijał tematu. Nie miałam powodu, by naciskać, choć jego odpowiedź zabrzmiała bardziej osobiście, niż się spodziewałam.

Zamknęłam teczkę.

— W takim razie zaznaczę ten termin jako wymagający potwierdzenia.

— Dziękuję.

— Nie dziękuj. To tylko organizacja pracy.

— Czasami organizacja pracy jest najtrudniejszą częścią całego przedsięwzięcia.

Kiedy wyszedł z pracowni, zostałam jeszcze chwilę przy stole. Spojrzałam na pustą puszkę, kartkę z odręcznym zdaniem i projekt, który miałam jutro przedstawić dyrekcji. Trzy różne sprawy, które niespodziewanie znalazły się obok siebie.

Nie wiedziałam jeszcze, jaką historię kryje film. Wiedziałam natomiast, że Roch Kania nie będzie człowiekiem, który przytaknie mi dla świętego spokoju. I chyba właśnie dlatego chciałam, żeby następnego dnia znów pojawił się w archiwum.

Rozdział 2 - Warunki współpracy

Następnego dnia mój projekt przeszedł pierwszą próbę. Nie dostałam zgody na realizację, ale Marta uznała, że pomysł jest wart przedstawienia komisji programowej. Potrzebowałam jeszcze dopracować budżet i wskazać konkretne materiały, które mogłyby znaleźć się w cyklu. Odnaleziony film był jedną z możliwości, choć nie zamierzałam opierać na nim całego przedsięwzięcia.

Po spotkaniu z dyrekcją wróciłam do pracowni z notesem pełnym uwag. Najważniejsza dotyczyła harmonogramu. Jeśli chciałam zgłosić program do kolejnego etapu, musiałam przedstawić wstępną listę materiałów i osób odpowiedzialnych za ich opracowanie. Oznaczało to, że moja współpraca z Rochem musiała przybrać bardziej konkretną formę.

Znalazłam go w pomieszczeniu technicznym. Sprawdzał jeden ze starych projektorów, który miał zostać wykorzystany podczas prób. Stał pochylony nad urządzeniem, z rękawami podwiniętymi do łokci. Na stole obok leżały narzędzia ułożone tak równo, jakby każde miało wyznaczone miejsce.

— Masz chwilę? — zapytałam.

— Zależy, czy chodzi o projektor, czy o coś, co może poczekać.

— O naszą współpracę.

Odłożył narzędzie.

— To brzmi poważniej niż projektor.

— Bo jest poważniejsze. Potrzebuję ustalić, na jakich zasadach będziemy pracować przy filmie.

— Myślałem, że już je ustaliliśmy.

— Ustaliliśmy zasady obchodzenia się z materiałem. Nie zakres odpowiedzialności, terminy ani sposób podejmowania decyzji.

— Słusznie.

Wskazał krzesło przy stole. Usiadłam, a on zamknął obudowę projektora i odsunął narzędzia. Nie próbował udawać, że rozmowa jest mniej ważna od pracy, którą przerwał. To drobiazg, ale doceniłam go.

Wyjęłam z notesu przygotowany dokument.

— Chciałabym, żebyśmy pracowali w trzech etapach. Najpierw pełna ocena stanu taśmy i dokumentacja. Potem identyfikacja treści, porównanie z dostępnymi materiałami i ustalenie możliwych źródeł. Na końcu decyzja o sposobie prezentacji, jeśli w ogóle będzie możliwa.

— Brzmi dobrze.

— Ty odpowiadasz za ocenę techniczną, ja za dokumentację archiwalną i historyczną. Wnioski przygotowujemy wspólnie.

— Zgoda. Ale mam jeszcze jedną uwagę.

— Oczywiście.

— Nie chcę, żebyśmy przyjmowali z góry, że ten materiał musi trafić na ekran. Jeśli okaże się, że bezpieczniej będzie ograniczyć się do prezentacji dokumentacji, powinniśmy mieć taką możliwość.

— Nie zamierzam ryzykować oryginału dla efektownego pokazu.

— W takim razie nie mamy problemu.

— Mamy jeden. Terminy.

Przesunęłam dokument w jego stronę. Zaznaczyłam daty kolejnych przeglądów i przewidywany termin przedstawienia wstępnego raportu. Roch przeczytał całość, po czym zatrzymał się przy ostatniej stronie.

— Tutaj jest napisane, że decyzja o wykorzystaniu materiału należy do koordynatora programu.

— Czyli do mnie.

— Właśnie. A co, jeśli moja ocena techniczna będzie negatywna?

— Wtedy nie wykorzystamy taśmy do projekcji.

— Nawet jeśli będzie to oznaczało zmianę całego programu?

— Nawet wtedy.

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie, jakby sprawdzał, czy nie odpowiadam tylko po to, by zakończyć rozmowę. Nie odwróciłam wzroku.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Chciałem to usłyszeć.

— Masz jeszcze jakieś zastrzeżenia?

— Nie do tego dokumentu. Mam natomiast własny warunek.

— Słucham.

— Chcę mieć dostęp do pełnej dokumentacji materiału, nie tylko do technicznych kart oceny. Jeśli znajdziemy coś, co może zmienić sposób postępowania z taśmą, muszę o tym wiedzieć.

— To oczywiste.

— Nie zawsze.

Nie odpowiedziałam od razu. Wiedziałam, do czego nawiązywał. W niektórych instytucjach pracownicy techniczni dostawali jedynie fragment informacji, który uznawano za potrzebny do wykonania zlecenia. Archiwista decydował o reszcie, a konserwator miał nie zadawać pytań. Nigdy nie uważałam tego za rozsądny sposób pracy.

— Dostaniesz wszystkie informacje dotyczące materiału, które będą dostępne w dokumentacji. Jeśli pojawią się dane wymagające ograniczenia dostępu, ustalimy to osobno. Nie będę niczego przed tobą ukrywać tylko dlatego, że nie dotyczy bezpośrednio stanu taśmy.

— W porządku.

Podpisał dokument. Ja złożyłam podpis obok jego nazwiska. Formalnie byliśmy już zespołem odpowiedzialnym za ocenę odnalezionego filmu.

Przez resztę przedpołudnia pracowaliśmy przy stanowisku. Roch przygotował zestawienie parametrów technicznych, a ja uporządkowałam dokumentację przekazania. Okazało się, że w jednym z załączników znajdowała się informacja o miejscu przechowywania skrzyni przed dostarczeniem jej do archiwum. Było to prywatne pomieszczenie gospodarcze na terenie Łodzi, ale bez dokładnego adresu.

— To może nam pomóc — powiedziałam.

— W ustaleniu warunków przechowywania?

— I historii obiektu. Jeśli znamy miejsce, możemy spróbować ustalić, czy materiał należał do lokalnej kolekcji.

— A jeśli nie ma żadnych dodatkowych informacji?

— Wtedy będziemy szukać dalej.

Roch spojrzał na mnie z lekkim rozbawieniem.

— Zawsze jesteś taka uparta?

— Tylko kiedy ktoś zadaje niepotrzebne pytania.

— To wyjaśnia kilka rzeczy.

— Jakich?

— Na razie nie powiem. Nie chcę psuć sobie pierwszego dnia oficjalnej współpracy.

Próbowałam zachować poważną minę, ale nie wyszło mi najlepiej.

W południe zrobiliśmy przerwę. Zwykle jadłam przy biurku, bo praca w archiwum miała tę właściwość, że zawsze pojawiało się coś pilniejszego od lunchu. Tym razem Roch zaproponował, żebyśmy wyszli na kawę. Nie powiedział tego w sposób, który sugerowałby, że nie mam wyboru. Zapytał, czy mam czas.

— Mam pół godziny — odpowiedziałam.

— Wystarczy.

— To zależy, jak szybko pijesz kawę.

— Wolniej, niż pracuję.

Wyszliśmy z budynku i ruszyliśmy w stronę niewielkiej kawiarni, którą znałam z drogi do pracy. Było chłodno, ale nie padało. Ulica była mokra po porannym deszczu, a samochody zostawiały za sobą szare smugi wody. Łódź miała w listopadzie szczególny rodzaj światła. Nawet w południe potrafiła wyglądać, jakby dzień już dawno miał się ku końcowi.

Roch szedł obok mnie, nie próbując narzucać tempa. Rozmawialiśmy najpierw o pracy. Zapytał, jak długo zajmuję się archiwum, a ja odpowiedziałam, że wystarczająco długo,

by wiedzieć, że nie wszystko da się uporządkować w katalogu.

— A dlaczego akurat filmy? — zapytał.

— Bo można w nich zobaczyć rzeczy, których nikt nie uznał za warte opisania.

— Na przykład?

— Ludzi stojących na przystanku. Kogoś wyglądającego przez okno. Dziecko biegnące przez podwórko. Czasem najważniejsza rzecz w kadrze nie jest wcale tym, co filmujący chciał pokazać.

— Czyli interesuje cię to, co przypadkowe.

— Interesuje mnie to, co zostaje, kiedy znika pierwotny kontekst.

— To dość niebezpieczna specjalizacja.

— Dlaczego?

— Bo można zacząć dopisywać historię do każdego szczegółu.

Spojrzałam na niego.

— A ty nie próbujesz tego robić?

— Staram się nie mylić tego, co wiem, z tym, co chciałbym wiedzieć.

Powiedział to bez cienia ironii. W jego głosie było coś spokojnego, co sprawiło, że przez chwilę zapomniałam o przygotowanej odpowiedzi. Zauważyłam, że mówił o swojej pracy z większą czułością, niż można było oczekiwać od kogoś, kto na co dzień naprawiał urządzenia i oceniał stan taśm.

— Od dawna zajmujesz się projektorami? — zapytałam.